

**ZŁY
KADR**

K. GAWRON

**ZŁY
KADR**



OTWARTE

KRAKÓW 2026

Copyright © by K. Gawron

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2026

Opieka wydawnicza: Alicja Konieczka, Ewelina Tondys

Redakcja tekstu: Justyna Techmańska-Szewczuk

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja i korekta: Studio NOTA BENE

Łamanie: Daniel Malak, Jędrzej Malak

Promocja i marketing: Zuzanna Molińska

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

ISBN 978-83-8399-037-8



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Kiedy wszystko cichnie,
a ludzie przestają się rozumieć – wtedy przychodzi.
Pomóc temu, co się psuje. Żeby się nie odratowało.*

Stare porzekadło z Łomek Dolnych, autor nieznany

ROZDZIAŁ 1

Marian Wyrwa kochał te chaotyczne arabeski, które szron rzeźbił na szybach – jakby sama zima przysiadła z nim tu, w Łomkach Dolnych, przy kuchennym stole i naprędce próbowała coś opowiedzieć. Zawijasami, pajęczyną, ząbkowanymi brzegami. Czasem przypominały rysy na betonie widywane na budowach w środku zimy. Pęknięcia, które bez słów donosiły mu, że pan architekt znów odwalił fuszerkę. W tym szronie widział jakąś mapę życia – może nawet własnego. Nie potrafił jej nazwać. Umiał ją czytać. Intuicyjnie.

Kochał też maczać maślane ciasteczka w herbacie z prądem. Bez prądu – mawiał – to nie herbata, tylko napar dla rekonwalescentów. Osiemdziesiątka za pasem, ale przecież jeszcze nie złożył broni. Fascynowało go, jak ciasteczko powoli nasiąka, mięknie, jak traci kształt i rozpada się – kawałek po kawałku, aż zostawała tylko brązowa pulpa w kubku. Wtedy już nie smak, a faktura była najważniejsza. Widział w tym coś znajomego, domowego.

I, o dziwo, kochał Józefa Bieńkowskiego, chociaż w życiu by tego głośno nie powiedział. Tego lachudrę, złośliwego starucha z diabelskim błyskiem w oku i rozumem godnym Napoleona. Chłop potrafił wyczytać blef nie tylko z twarzy, ale z samego sposobu, w jaki człowiek oddychał przy kartach, z drżenia palców przy podnoszeniu żetonów.

- Pass... - mruknął Marian. W duchu zaklął siarczyście.

Józef się roześmiał. A śmiech miał charczący, jakby całe życie palił tylko Mocne, choć zaczął dopiero na starość. Odślonił przy tym zęby przypominające krzywe ogrodzenie z drewna, podgnite od dołu.

- Para - powiedział, odsłaniając karty.

Marian sapnął, spojrział na swoją rękę. Strit. Strit, kurwa jego mać. Znowu go zrobił jak dziecko. Józek zgarnął kapsle elegancko ułożone w kółeczko - robiły za żetony.

- Oj, Marian. Znowu się dałeś podejść. To co, gramy dalej? O kury, świnię? Może o nowy telewizor, co go nie używasz?

- Jakbyśmy grali w remika, to byś się poskładał jak leżak na koniec sezonu - rzucił Marian i sięgnął po kolejne ciastko, jakby to ono miało mu pomóc odzyskać honor. - A telewizora używam.

- Ta...

Do kuchni weszła Celina, żona Józefa, niosąc karafkę z cytrynowką. Wyraz jej twarzy był pełen cierpliwości, ale pod tą maską czaiło się coś, co znają wszystkie kobiety po siedemdziesiątce - głębokie przekonanie, że mężczyźni to w gruncie rzeczy nadal dzieci, tylko z większymi zmarszczkami i mniejszą kontrolą pęcherza.

- Znowu żeś przegrał? Może cię trochę cytrynowka ocuci, co? Marianek?

- A idź, kobieto. Pewnie w znowie jesteście.

- Jakiej znowu znowie?

- Ano takiej - zabębnił palcami o blat - że ty mnie upijesz, a Józek oskubie. Zostanie mi tylko ten sweter, co mama mi dała na wojsko.

- Dobrze, że niekompletnie do gołego - mruknął Józef.

- Aj, bo z wami to zawsze taka robota...

Nie czekając, aż gość skończy narzekać, Celina napełniła kieliszki i jeden postawiła przed nim. Marian spojrzał na szkło i coś go szarpnęło od środka. Przypomnił sobie stół z dzieciństwa - jeden talerz, jedna łyżka. Nikt mu nigdy nie podbierał picia ani jedzenia.

Nie miał rodzeństwa. Ale może to i lepiej.

Ojciec nie wrócił z wojny, matka całe życie zgięta w pół przy ziemniakach i worach mąki z PGR-u. W domu nie było ani śmiechu, ani płaczu. Jak się miało jednego dziecka, to się go jakoś wykarmiło. Drugiego już niekoniecznie. Dobrze, że był sam. Może właśnie to pomogło mu przetrwać.

Wtedy nie wiedział jeszcze, że przez całe życie będzie go uwierać jakiś trudny do opisanego brak. Bo jak nazwać tęsknotę za ramieniem, którego nigdy nie czuło się obok? Za śmiechem zza ściany, skoro nigdy się go nie słyszało?

Dopiero teraz, na stare lata, gdy śnieg leżał już nie tylko za oknem, ale i na jego włosach, zrozumiał, że Józef robił mu za starszego brata. Tego, co wkurza, drażni, a czasem oskubie do zera. Ale przy tym zawsze siedzi obok. Przy stole, przy kieliszku. Celina z kolei, ze swoim spojrzeniem przez okulary i wiecznym: „a co ty znowu narzekasz, Marianek”, była jak siostra.

Nie było to prawdziwe rodzeństwo, takie z krwi, jednak serce rozpozna swoich. Marian miał świadomość, że z tą dwójką mógłby się pożreć o wszystko, a i tak wróciłby tu następnego dnia. Choćby dla szronu na szybie, maślanego ciastka albo tej parszywej pary, którą Józef rzucił z miną pokerowego boga.

– No i co ci tam teraz chodzi po głowie, Wyrwa? – mruknął Józef. Wyczuł moment, bo Marian rzeczywiście odpływał.

Marian podniósł wzrok i uśmiechnął się krzywo.

– Nic, tylko sobie myślę... Miałeś szczęście, że nie byłeś moim bratem. Od matki byś zebrał tyle szmat przez łeb za te blefy, że byś się nauczył uczciwości raz dwa.

– To ty matkę w ogóle miałeś? – parsknął. – Jak cię słucham, to jakbyś z kartonu gdzieś sam wylazł.

Celina przewróciła oczami.

– A ten znowu swoje...

– Wasze zdrowie, wy dranie – rzucił Marian, podnosząc kieliszek. – I mojego psa, co wam ostatnio srał pod furtką.

Józef się roześmiał, wszyscy wypili cytrynowkę jednym haustem. Za oknem śnieg padał dalej. Powoli. Bóg miał już dość hałasu i postanowił zasypać świat warstwą wygłuszającej bieli.

*

Kłęby mlecznego dymu mieszały się z parą i płynęły przez lodowaty ocean wiatru. Na tle ciemnego nieba unosiły się powoli przecinane spadającymi płatkami śniegu. Deski pod nogami trzeszczały od mrozu. Józef i Marian stali przy balustradzie, opierając się o nią łokciami jak starzy marynarze wypatrujący łądu. Palili po rozchodnym.

– Ty, wiesz? – zaczął Józef, zaciągając się. – Ja to nie mogę uwierzyć, że dopiero teraz zacząłem palić. Przecież to takie relaksujące, że już dawno pogoniłbym problemy ze snem.

Zaciągnął się ponownie, mocno, jakby chciał mieć pewność, że i dziś zaśnie jak dziecko.

– No, a niektórzy mówią, że niby pobudzają – odparł Marian, wpatrując się w żarzącą końcówkę. – Pewnie dlatego jeszcze żyjesz. Bo nie paliłeś.

Józef zmarszczył brwi i spojrział na niego spod kaptura.

- A ty co? Też stary cap jesteś. Kiedy zacząłeś?

- Nie pamiętam. Pewnie gdzieś przy młotku i wiadrze z wapnem.

Zamilkli. Patrzyli na lampę sodową świecącą jak obca satelita nad przysiółkiem. Jedyna w tej części Łomek Dolnych. Ze cztery lata temu sołtys wywalczył kilka takich świateł - dla bezpieczeństwa - żeby zawiani panowie wiedzieli, którą rębę wrócić do domu.

- U mnie to mamusia mawiała, że jak zacznę palić, to przyjdzie Zdzicho - rzucił Marian. - No, ale zacząłem... i nie przyszedł.

- Zdzicho? - Józef wypuścił dym. - Zdzicho, co rozwala towarzyszo?

- O właśnie.

- Tak mówiła moja matka, jak się z bratem kłóciliśmy. I miała rację. Zawsze się wtedy milkło, bo człek się bał, że naprawdę ktoś przyjdzie.

- Ale ja brata nie miałem, to pewnie straszyla na zapas. Machnął ręką i splunął przed ganek.

- Kiedyś mówili, że Zdzicho naprawdę przyszedł - powiedział Józef.

Marian spojrział na niego ukosem.

- Gdzie przyszedł?

- No, bardziej na północ. W Wichrowym. Przyszedł niby taki nie wiadomo kto, nie wiadomo skąd, no i... pożarli się. Rodzina w rozsypce, rozwód po dwóch tygodniach, płacz, dzieciak w depresji. Do tej pory przed wigilią dzwoni, żeby uprzedzić, że będzie tylko na dziesięć minut.

- Tacy to potrafią się napierdalać przy dziecku jak posłowie w telewizji - westchnął Marian.

- Ale mówili, że to przez tamtego gościa...

Marian prychnął.

- Gościa, srościa.

Zaciągnął się ostatni raz i zgasił papierosa o balustradę. Przez chwilę patrzył na wypaloną w drewnie bliznę.

– Cytrynówka mnie za mocno wzięła, będę już wracać. Jutro sprzątanie, bo za dwa dni przyjeżdża Szymek z ekipą.

– Ty, jaki Szymek?

– Ten młody. On jest... – zawiesił głos, mrużąc oczy – mojej matki siostry wnuk.

– Ooo... ten. I co on?

– Mają kręcić jakiś film. – Wzruszył ramionami.

– Film, powiadasz... To ja może wpadnę popatrzeć.

– Pewno. Przyjdź.

Papierosy poleciały za ganek, Józef zniknął w drzwiach, a Marian został jeszcze na moment. Spojrzał na śnieg, który padał delikatnie, jakby nie chciał nikogo obudzić. Myślał sobie, że każdy płatek to czyjeś słowo niesione z góry od tych, co już tylko patrzą.

Prawdę mówiąc, żałował, że Bieńkowscy nie mieszkają bliżej. Jak będzie stary – jakby już nie był, ale nadal się łądził – dobrze byłoby mieć ich pod ręką. Do pogadania. Do podania herbaty, z prądem, rzecz jasna. Do przypomnienia, że człowiek to nie tylko numer PESEL w systemie, ale też imię, które ktoś jeszcze wypowiada.

*

Zasapał się srogo, bo śniegu nasypało do połowy łydek. Czuł każdy krok, jednak uparcie powtarzał w głowie przysięgę: dotrze, nie zawróci, nie da się temu przekłętemu puchowi. Skurczybyk niby lekki jak pierze, a potrafi z człowieka wycisnąć duszę.

Gdy tylko minął bramę, przywitało go znajome ujadanie. Stary dobry Gary.

Marian przygarnął kundla parę lat temu. Znalazł go w lesie – wychudzonego, z sierścią jak zmechacony dywan,

przywiązanego do drzewa drutem. Gnój. Nie mógł puścić psa wolno, jak już chciał się go pozbyć? Niiieeee. Taki pan to musi podkreślić, że to on ma władzę. A pies? Pies i tak by pobiegł za nim. Bo nie wie, że pan to kawał skurwiela. Pamięta tylko głos, zapach, ciepło ręki. Nie rozumie zdrady i okrucieństwa.

– Życie – mruknął Marian, zamykając bramę.

Ruszył w stronę Gary’ego.

Imię nie było przypadkowe. Od aktora Gary’ego Oldmana, tego, co grał Draculę. Marian się kiedyś dowiedział, że „Oldman” znaczy po angielsku „stary człowiek”. Parsknął wtedy i powiedział:

– No to idealnie. Na starość będziemy we dwóch... Dracula i jego pies.

I tak już zostało. Gary. Piękny, choć niepozorny. Niewysoki, o jasnym umaszczeniu, z kilkoma łatkami rozrzucenymi po sierści. Mimo rozmiaru głos miał jak maszyna piekielna. Kiedy warknął, to jakby nie do Mariana, tylko do samego diabła.

– No, już, już – powiedział Marian, głaszcząc psa po głowie.

Odczepił łańcuch. Wieczorami zawsze puszczał go wolno. Niech się wybiega, niech powarczy na samotność.

Wszedł do domu i z konsoli w przedpokoju wyjął latarkę. Potrząsnął (zawsze trzeba było potrząsnąć) i włączył. Snop światła wystrzelił w ciemność.

Wyszedł znów, by zajrzeć do budy. Upewnił się, że Gary ma pełną michę, koc jest suchy, a dach nie przecieka. Już miał postawić nogę na schodku, gdy...

Coś białego mignęło mu w kącie oka.

Zatrzymał się.

Pochylił.

Na desce, tuż przy schodku, leżała kość. Niewielka. Delikatna.

– Co ty, Gary... Znowu coś wygrzebałeś? – mruknął i sięgnął po nią.

Była zaskakująco gładka, niemal jak wypolerowana, lekka niczym piórko. Na pewno nie świeża – raczej wysuszona. Dopiero po chwili z bliska zobaczył to, co podświadomie przyciągnęło jego wzrok.

Dziurka. Mała, idealnie okrągła. Na samym końcu. Otoczona ciemniejszym brzegiem jakby ktoś wypalił ją rozżarzoną igłą.

Przez moment się wahał, czy nie rzucić jej w śnieg. Machnąć ręką. Zapomnieć. Jednak nie zrobił tego. Jakiś głos z wnętrza, z tych rejestrów, których nie używa się na trzeźwo, powiedział:

„Zostaw. Nie wolno”.

Zabrał ją do środka i położył na konsoli między pudełkiem z gwoździemi a bateriami. Po chwili już o niej nie myślał.

ROZDZIAŁ 2

Najgorsze nie było to, że nie mógł zasnąć. Najgorsze było to, że dokładnie wiedział, kiedy to się zacznie. Moment, gdy mózg jeszcze czuwa, lecz ciało przestaje być jego. Jakby ktoś odpiął niewidzialne pasy bezpieczeństwa, zepchnął go z siedzenia i pozwolił dryfować – powoli, bezwładnie, coraz dalej od siebie.

Szepty, które pojawiały się wokół Tomasza Boralskiego, początkowo przypominały szelest pościeli, szmer nóg ocierających się o prześcieradło. Potem rosły. Pęczniały niby siny guz. Czasem zamieniały się w krzyk, suchy, rwany, jak rozkaz w wojskowym obozie szkoleniowym. Z tym mu się kojarzyły – z opowieściami ojca o poborowych wciśniętych w wojskowe buty, o facetach, których odzierano z dumy, z godności i zostawiano samych sobie. Mówił, że niscy chłopcy nie mieli tam lekko. Nazywano ich „taboretami” i traktowano odpowiednio do tego przezwiska.

Zdarzało się, że głosy prosiły o pomoc. Przeszywające jęki wiły się po poduszce niczym oślizgły padalec, omijały

małżowinę, potem wpełzały do środka i zaczynały szlochać. Zawodzić. Czasem próbowały zawrzeć z nim pakt – coś na kształt porozumienia między dwoma zranionymi umysłami. A kiedy wydawało się, że przybiły już pieczęć, że odpuszczają i pozwolą mu zasnąć, wybuchały rozsadzającym bębni rechetem.

Widzieli w nim wariata. Od zawsze. Kumple z podwórka, znajomi ze szkoły, ci, którym zaufał i powiedział coś więcej. Ich twarze miały ten sam wyraz politowania.

„Ej, to niezły pomysł na horror, możesz napisać książkę” – mówił jeden. Drugi poklepywał go po plecach. Trzeci krzywił się jak po ugryzieniu cytryny. Wszyscy mieli w oczach to samo niedowierzanie, obrzydzenie albo rozbawienie.

On sam – jeszcze w podstawówce – był przekonany, że słyszy dusze zmarłych. Że przemawiają do niego ci, którzy nie zdążyli się pożegnać. Później natrafił na termin „omamy hipnagogiczne”. Brzmiało mądrze, naukowo. Przez jakiś czas odczuwał spokój, jakby samo nazwanie problemu odebrało mu moc.

Ale potem... coś się zmieniło.

Tomasz mógłby przysiąc, że nie słyszał losowych dźwięków. Nie było już szumu, szeptów, bełkotu. Był tylko jeden głos. Wyraźny. Formułujący zdania. Wybierający odpowiednie momenty.

Z biegiem lat przestał o tym mówić, bo i co miał powiedzieć? Że ten głos czasem go pocieszał, a czasem mu groził? Że bywał czuły, ironiczny albo pełen wyrzutu?

Że czasem brzmiał znajomo?

*

W windzie czuć było wilgoć i stęchliznę, jakby coś w niej zdechło. Tomasz zawsze miał wrażenie, że coś gnieździ się pod podłogą. Nie trup, nie. W każdym razie niedosłownie – raczej

jakiś byt. Czarna pustka o charczącym oddechu. Czekająca na potknięcie, na jedno głupie pytanie: co by było, gdyby...?

Tomasz miał sporo takich – co by było, gdyby.

Co by było, gdyby dostał się na filmówkę w Łodzi?

Gdyby nakręcił swój debiut – ten o ślepym listonoszu i jego psie rozpoznającym ludzi po zapachu. Trochę dramat, trochę absurd. Głęboka metafora o zaufaniu – przynajmniej tak sobie to obmyślił.

Marzył, że będzie robił filmy, a nie „filmiki”. Niestety, próba dostania się do filmówki skończyła się fiaskiem. Marzyło mu się kino artystyczne, ale to chałtury przyjęły go jak swojego. Wesela, komunie, czasem pogrzeby. Zamiast głębi ostrości – ryczący pan młody w altance z białym tiulem.

Życie.

Montowane na szybko, z podkładem royalty free.

Stał teraz w dusznym metalowym pudle obok starszego mężczyzny, który bujał się delikatnie, a w jego pustych oczach igrały cienie rzucane przez progi kolejnych kondygnacji.

Tomasz wyjął telefon. Nie było zasięgu, ale zobaczył powiadomienie sprzed kilku minut. Nieodczytana wiadomość.

Maja: Hej! Tu Maja Joniec. Dzwoniłam, ale nie odbierasz.

Szybka akcja, jutro jedziemy na plan. Montażysta nam się wysypał. Potrzebujemy kogoś na miejscu.

Maja była reżyserką po studiach, po debiucie. Poznali się na jednym z festiwalu. W czasach, gdy Tomasz naiwnie wierzył, że przez samo oglądanie cudzych filmów uda mu się wkręcić w robienie własnych.

Na widok wiadomości rozbłysły mu oczy.

Ja: Hej. Na ile dni?

Czekał chwilę, wpatrzony w ikonkę zasięgu. Raz zniknęła, raz wracała. Uniósł telefon wyżej. W końcu rozbrzmiał dźwięk powiadomienia.

Maja: 10. Podeślę ci maila ze scenariuszem i dawaj znać.

Po sekundzie dopadła go rzeczywistość. Nie mógł jechać. Musiał zmontować wesele, dwa filmiki na YouTube, a po weekendzie – komunia. Klient czekał.

Ja: Sorry, ale odpadam. Jestem zawalony. Dzięki za pamięć!
Schował telefon.

Winda jęknęła. Zatrzymała się z tępym uderzeniem. Szarpnięcie sprawiło, że obaj – on i staruszek – zachwiali się. Spojrzeli po sobie. Tomasz instynktownie przytrzymał drzwi, by dać mężczyźnie więcej czasu na wyjście. Spojrzał w dół. Stopa starca odziana w za duży wytarty but sunęła po podłodze.

Szur... szur...

Krok.

Szur...

Krok.

Zdecydowanie za długo.

Drzwi zaczęły walczyć o swoje – wciskały się w ramię Tomasza. Nowoczesne czujniki zadziałyby przy najmniejszym oporze, ale w tym bloku nic nie było nowe. Te cholerne drzwi miały swoją wolę i musiały się zamknąć za wszelką cenę. Tomasz zaczął się siłować. Najpierw ramieniem. Potem całym ciałem.

Szur...

W końcu wyszli na korytarz. Staruszek się obejrzał. Nic nie powiedział, lecz spojrzenie miał pełne wdzięczności. Boralski odwzajemnił uśmiech.

Drzwi się zatrzasnęły.

Przez ułamek sekundy, zanim kabina ruszyła, zobaczył w odbiciu na zabrudzonej stali kogoś jeszcze.

Stał tuż za nim.

Nie mrugał. Nie powinno go tam być.

...zrobię z ciebie coś więcej... musisz się tylko zgodzić...

*

Wszedł do mieszkania i odwiesił kurtkę na wieszak. Płatki śniegu zdążyły stopnieć i spływały po rękawach, zbierały się w kalużę obok szafki na buty. Było już późno, nie miał ochoty latać ze ścierką. Przecież to tylko woda. Wyschnie. A jeśli parkiet spuchnie? Trudno. Masaż stóp gratis.

Kawalerka jak kawalerka – raczej graciarnia niż prawdziwe mieszkanie. Kartony po mrożonej pizzy poniewierały się po kątach, czekając na swoją kolej do wyrzucenia. Ściany były szare i spękane, tynk odłaził płatami. Na regałach z palet: książki, uschnięte rośliny w przypadkowych doniczkach, a między nimi zakurzone zestawy LEGO sprzed ponad dekady poustawiane jak relikwie. Wtedy jeszcze wierzył, że robi coś ważnego. Na biurku – papierowy chaos. Umowy, paragony, luźne kartki z notatkami i projekty filmów, które umarły po podliczeniu budżetu.

Rzucił torbę na kanapę. Buchnęła kurzem w odpowiedzi. Zakrztusił się.

...roztocza, moi mali przyjaciele...

Miał na nie alergię, lecz prawdziwą niechęć czuł do większych pajęczaków. Mikroskopijne stworki nie były wystarczającym powodem, by wziąć się do sprzątania.

Podszedł do okna, uchylił je i wpuścił do środka grudniowy chłód. Potem otworzył lodówkę. Po chwili znalazł opakowanie z gotowym mielonym.

„Należy spożyć do: 01.12.2024”

Był czwarty.

Wzruszył ramionami.

Trzy dni to nie rozkład, to fermentacja smaku.

Kotlet trafił na patelnię.

Zapach smażonego mięsa wypełnił mieszkanie, osiadając na ścianach i zasłonach. Tomasz usiadł przy biurku, włączył komputer. Miał jeszcze wystawić fakturę, zmontować film i zarchiwizować materiał z ostatniego zlecenia – wideo z drona, który kręcił jak po kwasie, łapiąc więcej ujęć dachu

niż gości weselnych. No i ta matka panny młodej poprawiająca stanik w połowie ceremonii... akurat na zbliżeniu.

...zawsze marzyłeś o wielkim kinie, to masz wielką mamuszkę...

Przelknął ostatni kęs i spojrzał na ekran. Widniała tam świeża faktura, gotowa do wysłania.

...tyle to ja zarabiałem, sprzedając karteczki w podstawówce...

Często fantazjował o innej pracy. Lepszej. Ale bez studiów, bez znajomości, bez tego „cwaniackiego genu sukcesu”, który trzeba mieć we krwi, mógł sobie pomarzyć. Znał paru takich, co to całe liceum jechali na ściągach, a teraz wrzucają na Insta zdjęcia z drinkiem na Bali, a w opis wciskają cytaty z Coelho.

A on?

Miał blender z promocji i zaschnięty tłuszcz na dnie zlewu.

Rozsiadł się w fotelu, który skrzypnął, jakby też nie miał już siły na kolejny wieczór. Wyciągnął telefon, przesunął palcem po ekranie. Jeszcze raz przeczytał wiadomości od Mai. Zajrzał do skrzynki mailowej.

Maja: Jutro wyjazd. Mamy miejsce. Jedź z nami.

Mimo jego wcześniejszej odmowy w załączniku czekał scenariusz.

Westchnął. Przesunął palcem...

Nie. Nie otworzył.

Pieniądze. Musi zarobić. Nie ma czasu na głupoty.

Załóżyl słuchawki. Klik. Otworzył program montażowy. Klik. Wczytał ostatni projekt. Na ekranie pojawiły się znajome uśmiechy – ślub, dzieci rzucające ryżem, tańczący ludzie. Wszystko zbyt jasne, zbyt czyste. Sztuczne. Na końcu pojawiał się napis:

„Wesele Oli i Krystiana, 12.09.2024 <3 Montaż: Tomasz Boralski”

- To jest dramat... - mruknął, przecierając oczy.

Przewinął dalej. Cofnął. Zatrzymał się na scenie, w której ciotka Ela wywraca się na parkiecie. Światelka. Oklaski. Sztuczny efekt śmiechu w tle – jeden z tych z darmowej bazy dźwięków, gdzie ludzie rechoczą tak, jakby na świecie nikt nie głodował. W tle migoczący stroboskop.

Właśnie z tego miała powstać „komediowa zajawka”. Do filmu, za który dostanie: siedem stów, uścisk dłoni i flaszkę nie-ulubionego likieru.

Westchnął i się rozejrzył.

Z prawej strony biurka – stos pustych puszek tak wysoki, że mógłby robić za instalację artystyczną. Z lewej – talerz po kotleciku i opakowanie leków. Sięgnął po nie niechętnie i wysunął blister.

Zostały trzy tabletki.

Odłożył opakowanie z powrotem.

Miał przed sobą ścianę, na której od lat wisiał plakat Tarkowskiego. Naderwany w rogu, trzymający się wyłącznie dzięki srebrnej taśmie (to ona skleja wszystko na planach zdjęciowych).

Pewnego razu jeden z klientów przyszedł na montaż, spojrzął na plakat i powiedział z pełnym przekonaniem:

– Tarkowski to ten, co robi krwawe filmy, nie? Jedną scenę nawet zrobił czarno-białą, tyle tam się lało juchy.

Tomasz zerknął na *Solaris*. Próbował sobie przypomnieć, gdzie tam była krew – aż zrozumiał. Klientowi chodziło o *Kill Billa*.

Tarkowski, Tarantino... liczba liter się zgadza.

Siedział teraz, wlepiając wzrok w okno. Sypało, jakby ktoś trzepał dywan nad Warszawą. Nie bez powodu kilka dni wcześniej zapowiadano zimę dekady.

...to nie jest to, co chciałeś robić, prawda?..

Znieruchomiał z ręką na myszce.

...myślałeś, że będziesz opowiadał historie, a montujesz przypadkowych, spoconych i pijanych ludzi...

Zamrugął. Znowu.

...i dla kogo to robisz...

- Zamknij się - wysyczał, zaciskając zęby.

Zdjął słuchawki, rozłożył się na fotelu i zamknął oczy. Wziął głęboki wdech. Wyłączył program. Foldery na pulpicie wyświetlały się jak epitafia:

„Komunia_Radek_Backup3”

„Wideo_Promocja_Solarium”

...ile jeszcze zrobisz takich filmów, zanim zapomnisz, jak wyglądały twoje własne pomysły...

Tomasz przełknął ślinę i spojrzał na skrzynkę mailową. Na nieotwartą wiadomość od Mai o temacie:

„SCENARIUSZ / plan zdjęciowy / Łomki Dolne”

Zamknął oczy.

...a może już dawno przestałeś marzyć...